

1931

MŁODA MYŚL

**Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego
„Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach
Nauczycielskich w Białymstoku**

Cena prenumeraty: Rocznik 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.
Cena numeru w mieście 40 gr., z przesyłką 50 gr.

TREŚĆ NUMERU:

- | | |
|--|---------------------|
| 1. Kilka słów wstępnych | Redakcja |
| 2. Bez tytułu (albo bez sensu) | III z. Mik |
| 3. Program pracy Zarządu Głównego U. S. S. „Bratnia Pomoc” — Prezes Zarządu Głównego | Oziemkowicz Czesław |

Dział naukowy

- | | |
|--|---------------------|
| 4. Dlaczego powinniśmy kochać i szanować książki | J. Horodeńska |
| 5. Sprawa wychowania towarzyskiego | F. Z. IV m. |
| 6. Co każdy o radiotelefonii wiedzieć powinien | L. Drzymułski k. IV |

Dział literacki

- | | |
|-----------------------------------|---------------|
| 7. Dumka Góralki | III z. |
| 8. „...Którego z nas każdy żądał” | J. Horodeński |
| 9. Iść chce w dal | J. B. I z. |
| 10. Rezurekcja | R-wicz |
| 11. Idzie wiosna | J. B. I z. |

Dział „Nasze życie”

- | | |
|--|----------------------|
| 12. W odpowiedzi na artykuł „Koleżankom” | Antoni J. Brukasz |
| 13. Echo „Projektu” | III " " |
| 14. Cosnicość ze świat | X. |
| 15. Trochę o nas | III. |
| 16. Wspomnienia ze świata | Z. Urbanowicz III m. |
| 17. Uwagi | S. K. I. z. |
| 18. Wieczór ku czci Emilii Plater | „Procon” III m. |
| 19. Na czasie | |

Dział rozrywkowy

- 20) Dialogi i zadania.

Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Białymstoku, № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: **W. Konopkówna.**

Redaktor: **P. Popławski.**

Wicedektor: **St. Rdzkówna.**

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku

Kilka wstępnych słów.

Nowy redaktor—nowe porządki Tak—na straży sumiennej pracy, na straży pracy w myśl wstępu czuwać będzie poczucie obowiązku i własna ambicja, która przedewszystkiem nie pozwoli, bym zawiódł we mnie pokładane nadzieje tych, którzy popierali moją kandydaturę. Zawsze będę uważały ich zaufanie do mnie za depozyt na moje ręce złożony, za coś, czemu sprzeniewierzenie się w postępowaniu bez dostatecznych przyczyn będę uważały za zdradę własnego obowiązku, za krok wstecny, a więc za krok podwójnego cofania się w myśl słów:—Kto nie postępuje—ten się cofa.

Jeżeli chodzi o pisemko, to na tym punkcie ja jestem strażnikiem honoru wszystkich. Czując więc głęboko godność, jaką piastuję z tytułu swego stanowiska nigdy nie pozwolę bez skrajnego musu, by w tym honorze mogły powstać wyłomy; przeciwnie—zawsze będę usiłował go powiększyć—i to przyjmuję za normę własnego, postępowania. Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że bez poparcia ze strony członków cały mój zapał będzie tylko dźwiękiem pustym, a każdy wiśleć—tylko zmarnowaną energię, tylko tem, za co wy będziecie ponosić moralną odpowiedzialność przede mną. Sprawa więc pisemka w pierwszym rzędzie jest, że się tak wyrażę matematycznie, funkcję waszej woli.

Na początek narzekać nie mogę—bardzo jestem wdzięczny koleżankom i kolegom za współpracę. Jednym z moich pragnień jest to, by apel wyrażony przez autorkę artykułu p. nagłówkiem: Bez tytułu (albo bez senon) znalazł oddźwięk. Tak—chodzi i mnie o to, by pisemko, będące organem ca-

łej młodzieży, nie było pismem tylko klasy „inteligencji literackiej”. Cieszy mię bardzo, że oddźwięk ten wyraźnie zna czy swoje ślady na płycie czasu... Po wydaniu tego numeru zabiorę się z całym zapaniem do wprowadzania w życie regulaminu i do uporządkowania wszelkich spraw pozostających w związku ze sprawą pisemka.

Redaktor.

Bez tytułu (albo bez sensu).

Było to po jakieś lekcji...

Na naszym kursie, jak zwykle, dużo było maruderów, z których jedne ściągały, a polityczniej mówiąc, pisały Résumé z francuskiego, inne podpisywały fotografie, a jeszcze inne, dla towarzystwa tylko, zostały w klasie.

Wtem, jak huragan, wpada do nas kolega redaktor, dosłownie jak huragan, bo włosy miał rozwiane—nie wiem z przyrodenia, czy ze zbytniego przejęcia się ważnością chwili, oczy rozpromienione, może dlatego, że nas tak dużo było i wrzasnął (!) „Koleżanki”!!

Szanowne koleżanki, wyrwane tem gromkiem słowem od swych terminowych zajęć, podniosły głowy, aby usłyszeć co też kolega „rzeknie”.

„Koleżanki” (jeszcze raz powiedział, tylko mniej głośno) piszcie do naszego pisemka”!

Krytyka zmniejszona do minimum. (!!)

Niedowierzając kolędze, aby tak, ni stąd, ni zowąd tak wielkie ustępstwo „Młoda Myśl” zrobiła, zarzuciliśmy go pytaniami:

„To kolega jest nowym redaktorem?”

„I kolega ręczy, że wszystkie artykuły i długie i krótkie i dobre i złe (szczególnie te ostatnie) będą przyjmowane.”?

„Oczywiście” zapewnił kolega.

Więc korzystajmy z tego.

Zwracam się nie do tych „wielkich”, co swoim talen-

tem okraszają stronice naszego pisemka, ale do tych, co jeszcze nie zdołali przełamać swego niewytłumaczonego lęku pisania do „Młodej Myśli”.

Piszcie, chociażby o tem, że łatwiej jest przejść na drugą stronę ulicy, spotkawszy znajomą osobę, niż się ukłonić; że łatwiej jest ściągać matematykę, pilnie rzuczając okiem na drzwi, czy nie stoi w nich ktoś z państwa profesorów, niż odrobić ją w domu. Albo piszcie o tem, że lepiej mieć dwójkę z geografii niż z matematyki (aktualne przed okresem.)

Zresztą tematy się znajdują—tylko obserwujmy! A potem powierzmy swoje artykuły kolędze — redaktorowi, spokojni o ich los, bo albo będą przyjęte, albo pójdą do kosza, więc nic złego się nie stanie.

Szczęśliwe czasy!

Mik. III z.

Program pracy rocznej Zarządu Głównego U. S. S. „Brańśia Pomoc”.

- 1) Mianowanie pracowników poszczególnych jednostek organizacyjnych.
- 2) Załatwianie spraw bieżących.
- 3) Organizowanie pracy w poszczególnych Wydziałach
- 4) Zaprowadzenie nowej księgowości.
- 5) Rewizja Regułaminów.
- 6) Zorganizowanie kursu buchalterycznego.
- 7) Urządzanie zawodów sportowych.
- 8) Urządzenie majówki.
- 9) Zorganizowanie pożegnania maturzystów.
- 10) Zaznajomienie młodszych kursów z naszą organizacją.
- 11) Poprawa Regułaminu Wyborów do Zarządu Głów. i Komisji Rewizyjnej.

- 12) Opracowanie projektu Regulaminu Obrad Walnego Zebrania.
- 13) Wystawienie sztuki scenicznej.
- 14) Urządzenie wigilii.
- 15) Wystawienie szopki.
- 16) Urządzenie zabawy karnawałowej.
- 17) Przygotowanie do Walnego Zebrania.
- 18) Urządzenie odczytów o treści spółdzielczej, względnie Dnia Spółdzielczości.
- 19) Organizowanie obchodów uroczystości szkolnych.
- 20) Wzięcie udziału w urządzeniu Święta Dziecka.

Prezes Zarządu Głównego
Oziemkiewicz Czesław

DZIAŁ NAUKOWY.

Dlaczego powinniśmy kochać i szanować książki

Chcąc dokładniej zrozumieć i należycie ocenić wartość, jaką w sobie mieści każda pozyteczna książka, musimy choć na chwilę uprzytomnić sobie te kolejne wysiłków łożonych przez narody w ciągu swego kulturalnego rozwoju nad myślą stworzenia konkretnego i długotrwałego pomnika swoich myśli.

Z jakim mozołem biedził się od wieków umysł ludzki nad tą zewnętrzną, namacalną szatą poglądów szeregu wybitnych jednostek, których nieprzeciętne mózgi mogłyby dużo dać przyszłości. Ileż to nadaremnych wysiłków, częstokroć ubiegających się już w formy konkretne legły na tym ołtarzu dobra rozdaju człowieczego w celu wyszukania jakiegoś łącznika między przeszłością, teraźniejszością a przeszłością. Z jaką intencją duchowy pierwiastek natury ludzkiej odczuwał potrzebę uewnętrznenia się nie w ulotnych formach słów, ale w utrwalonych i każdemu zrozumiałych ich czarnych symbolach—liter.

I przeszły długowiekowe fazy doskonalenia się, bo od kamieni starożytnych, przez pergaminy średniowiecze, aż

do papieru nowożytnego—stanęła teraz książka na niezbędnym usługi człowieka, żywiąc umysł jego swoją treścią, szlifując mowę jego pięknem swej formy.

Jednakże z przykra, niestety, otwartością stwierdzić należy, że wielka powszechność książki zepchnęła ją do rzędu przedmiotów codziennego użytku, a zarazem pozbała ją czci i tego poszanowania, jakie powinni mieć do niej posiadacze i czytelnicy. Tak, to smutne, a jednak rzeczywiste...

Powyzsze tematowe pytanie nosić powinien w najgłębszych pokładach swego jestestwa każdy światły obywatel, który choć pewną dozę ma w sobie godności ludzkiej i poczucia obywatelskiego, który kryje w sobie zarody narodowych i ogólnoludzkich ideałów. A kto jeszcze nie wyrobił w sobie tego poszanowania, a chciałby tego dokonać—niech najpierw zreformuje swoje poglądy, uszlachetni myśli i ducha, wzyuje się się ze skorupy spleśniatego konserwatyzmu i egoizmu, niech szeroko i trzeźwo otworzy swe oczy na bieg postępu kulturalnego świata z głębokiem wyrozumieniem miejsca i czasu, a wtedy spłodzić może w sobie inny światopogląd na tę szarość o'aczających go zjawisk w dziedzinie materji i ducha.

Świat w swoim kulturalnym rozwoju kroczy bezustannie naprzód, a kto nie idzie z prądem czasu, tego czeka, bezlitosna i nieunikniona zagłada fizyczna i duchowa. Genjusz myśli ludzkiej czas i przestrzeń zredukował do minimum. A perspektywa przyszłości?.. — zapyta niejeden optymist.

Atoli ta myśl, która ujarzmiła przyrodę i popchnęła świat na nowe tory doskonałości fizycznej, nie zasklepiała się bezproduktywnie w czaszkach genjuszów, nie stała się nieodłączną własnością swoich twórców. Zrozumieli oni potrzebę czasu. Ogólnoludzkie ideały nakazały zamknąć im plód mego geniuszu w postać druku na kartach księga duchowego dorobku ludzkiego.

I ta to właśnie książka stała się teraz niezbędną w usługach człowieka, w szerzeniu wiedzy moralnie zdobytej, ofiarnym wysiłkiem długiego łańcucha pokoleń. Dzięki jedynie jej istnieniu jest możliwość przekazania mnogim pokoleniom przyszłości naszego dorobku kultury, ażeby „z naszych czynów i z naszej zasługi korzystali znów następcy nasi”.

Szacunek nasz i przywiązanie do książki spotęguje się jeszcze bardziej wtedy, jeżeli uświadomimy sobie ważność jej roli w sprawach narodowych. Rola ta przybierała na znaczeniu zwłaszcza w tych razach, kiedy idee wolnościowe narodu były brutalnie tłumione. Pod tem znamieniem pełni swoją misję książka polska w wieku XIX.

Był to najniebezpieczniejszy dla zaborców, a najczęściej odwiedzający swój naród, emisariusz. Z właściwym sobie skutkiem wsącał w biernych, uspionych, lub upadłych na duchu braci idee wolnościowe. Podawał sposoby ich realizowania i bronienia nawet czynem pozytecznym w swem głośnem a tak już powszechnie znanem larum: „do bronii!”. Spiewał on pieśń przyszłości tak mężom na polu chwały, jak i niemowląt w kolyskach przez usta matek, ażeby przez realne owoce czynów stworzyli i przywróciły Jej dawną świetność Piastów i Jagiellonów.

W tej to „arce przymierza” między dawnemi a młodszemi laty” przechował się grunwaldzki miecz narodu, którego jedno cięcie w ostatnich (a tak wałkach) chwilach narodu przechyliło ostatecznie szalę państowej niepodległości i zapewniło mu swobodną egzystencję na przyszłość.

J. Horodeński

Sprawa wychowania towarzyskiego

Dość często słyszałem od kolegów maturzystów, z którymi po pewnym czasie się spotkałem, że brak im praktyki życiowej... Pierwsze kroki, jakie w życiu stawiają, przynoszą im rozczarowanie, jakiś niesmak i uniżenie.

W życiu codziennym wydajemy często swą opinię o osobach, z którymi się spotykamy, mówimy o ich intelektu i w odpowiedni sposób ustosunkowujemy się do nich. Wyrobienie życiowe to może jedna z najtrudniejszych nauk, gdyż w książce jej nie znajdziesz, tylko trzeba zdobyć własną pracę, obserwację i doświadczeniem. Zdolność obserwowania bardzo wiele przynosi i kto umie patrzeć, ten wiele się nauczy. Weźmy srodowisko o ramach dość szczupłych, w którym się wychowujemy... Zdawaćby się mogło, że szkoła poza nauką kształcącą formalnie daje niewiele. A jednak tak nie jest.

I w szkole można nabycь dużego doświadczenia życiowego. Bardzo często spotykamy się z koleżankami i kolegami, prowadząc rozmowy. Przez dłuższe obcowanie w towarzyskiem kolejnych przyjaciół i przyjaciólek, nie zdajemy sobie sprawy, jak nasza inteligencja kształtuje się i jak się wzbogacamy duchowo

Nie będę tu wymieniał korzyści, jakie obie strony odnoszą, wspomnieć jednak należy, że wzajemny wpływ jest olbrzymi, tak pod względem naukowym jak i wychowawczym.

Prawda, że czasem dyskusja wchodzi trochę na nie właściwe tory, kiedy jedna strona podejrzewa drugą o nietakt.

Nieporozumienia, jakie zachodzą, mogą wypływać raczej z różnego stanowiska poglądów, z odmiennością charakterów, lecz i to ma swą dobrą stronę, gdyż jedna strona może przekonać drugą i wyprowadzić ją z błędu. Może czasem kogoś boli pewna uwaga, forma niezbyt wykwintna, to niech pamięta, że owoc doświadczenia jest gorzki, ale zdrowy. Szczególnie więc w zakładach koedukacyjnych, gdzie życie nasze jest wspólne, powinniśmy brać z życia to, co godne uwagi.

Wysoki poziom naukowy i etyczny zależy głównie od sił pedagogicznych i od nich zależy atmosfera współpracy i współdziałania.

Na zakończenie chciałbym podkreślić to, co nawiązałem na początku artykułu. Wspólne wychowanie usuwa trudności jakie nas potem w życiu napotykają. Teraz, zanim jesteśmy uczniami, jeżeli postąpimy w brem zasadom wychowania, to sobie wspólnie, po bratersku wybaczamy.

Przyszłość może być dla nas surowsza, a błąd wtedy naprawić trudnej. To też zważywszy korzyści, jakie osiągamy z wspólnego życia, muszę powiedzieć, że są wielkie, a czasem szarą monotonię życia nie zaszkodzi urozmaicić wesołą, niczem niezmąconą pogawędką wieczorną...

F. Z. IV m.

Co każdy o radiofonji wiedzieć powinien.

Jak wielkie znaczenie ma radio dla życia kulturalnego jednostek i narodów, świadczy chociażby fakt, że każde państwo dąży do jaknajdalej idącej rozbudowy własnych stacji nadawczych, nie zważając na olbrzymie koszty.

Polska także nie pozostaje w tyle i w chwili obecnej posiada 7 stacji nadawczych, z których Warszawa Raszyń jest najsilniejszą w Europie.

Dzięki radiofonii człowiek ma możliwość słuchania wykładów z różnych dziedzin wiedzy, oraz produkcji wokalno-muzycznych w wykonaniu najlepszych sił świata.

Dzięki radiofonii najbardziej nawet zapadłe prowincje łączą się z całym światem cywilizowanym, bo chociaż odzielone przestrzenią, to jednak duchem tworzą całość i razem dążą do postępu.

Radiofonja rozwija się dopiero od roku 1914. Ze względu na palącą konieczność (porozumiewanie się wojsk w czasie wojny), nie szczędzono wysiłków, ani też środków, to też rozwój następuje bardzo szybko. Podczas wojny oddaje wiele usługi wojsku, a następnie przechodzi do użytku ogólnego.

Rozpatrzy teraz istotę radiofonii. Aby można jakąś audycję odbierać, konieczne są następujące urządzenia: a) stacja nadawcza, która w postaci fal elektromagnetycznych wysyła swój program; b) stacja odbiorcza, która odebrane fale elektromagnetyczne przekształca z powrotem na audycję.

Fale elektromagnetyczne wysyłane przez stację nadawczą rozprzestrzeniają się jako zaburzenia w eterze kosmicznym.

Eter kosmiczny jest to pewna substancja nieważka, niewidzialna i niematerjalna, wypełniająca cały wszechświat. Eter można sobie wyobrazić w postaci nieskończonej ilości drobnych punkcików, umieszczonych tuż obok siebie, posiadających między sobą łączność. Eter nie jest substancją nieruchłą, owszem, posiada ona doskonałą sprężystość.

Zapomocą niektórych procesów elektrycznych można w eterze sprawić pewne zaburzenia (drżania), podobnie jak przez wrzucenie kamienia do wody.

Organa powstałe w ten sposób w eterze są właśnie falami elektromagnetycznymi, które rozchodzą się na wszystkie strony z szybkością 300 000 km. na sekundę.

Od razu tu zaznaczę, że fale te mogą mieć rozmałą długość. W radiofonii są używane fale o długości od kilku do dwu tysięcy metrów. (Fale śmiertne i cieplne są to także fale elektromagnetyczne, lecz bardzo krótkie, bo zaledwie 0,05—do 0,00033 milimetra).

Każda stacja nadawcza nadaje na określonej długości fali i właśnie to umożliwia nam nastawienie aparatu odbiorczego na daną stację.

Na długość fali stacji nadawczej, czy też odbiorczej wpływa antena (długość, kształt) oraz obwód z nią sprzężony, a złożony z pojemności i samoindukcji (blisko tej sprawę omówię przy rozpatrywaniu budowy aparatury odbiorczej).

Z tego, co powiedziałem, wynika już, jakie urządzenia musi posiadać stacja nadawcza.

Więc do zamiany dźwięków na prąd używa się mikrofonu. Prąd ten dalej wzmacniony przez odpowiedni aparat (amplifikator) dostaje się do anteny nadawczej, skąd na określonej długości fali rozchodzi się w eterze. Różni się on jedynie od prądu powstałego w mikrofonie częstotliwością drgań (ma znacznie więcej drgań).

Nieco szczegółowo opiszę urządzenie stacji odbiorczej w następnym Nr. „Młodej Myśli”.

L. Drzymulski K. IV.

DZIAŁ LITERACKI.

Dumka góralki.

Biegnę w pole, bo tam kwiaty
Gadać coś umieja,
Wiatr zowieje, pełno głosów,
Aż się usta śmieją.

Widząc wokoło wiele życia,
Słysząc głosów tyla,
Czemuż piosnki nie zanucić,
Nie dognać motyla?

I motyla nie dogonię,
Piosnki nie zanucę...
Na obłoki jeno patrzę
I smucę się, smucę.

One płyną wciąż po niebie,
Zawsze płyną w dal,
A ja jedna tutaj siedzę
I tęsknię do hal.

Hale moje, góry moje,
Czemuż mnie tu żyć?!
Mnie za mało tej równiny,
Za nisko tu śnić.

III ž.

„Którego z nas każdy żądał”

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego wyłonił się z po-
sępnych mroków nocy.

Poranna chwila spokoju.

Niebo od wschodu zarumieniło się purpurowym odcie-
niem ukrytego jeszcze gdzieś w pozahoryzontalnych mgłach
dalekich słońca, którego złocisto-rubinowa tarcza, niby zdro-
wa twarz przed chwilą zbudzonej kochanki, miała wypływać
na pogodne niebo. Delikatne jak mgła, lekkie jak tchnienie
poranne chmurki na wschodniej części nieboskłonu zazna-
czyły się wyraźniej mocniejszem zabarwieniem swych frendz-

lastych dolnych rąbków na tle różowo-seledynowej kopuły
niebios. I te białe puchy łabędzi, resztki skrzydeł aniołów
niewidzialnych obsunęły jakoś nieznacznie po pochyłej ścia-
nie nieboskłonu w nieznane sfery, odcięte od oczu niere-
gularną linią widnokręgu. Z poza mglistego horyzontu,
przysłoniętego siną wstążką odległych borów raz wraz try-
skają nieśmiało pojedyńcze grotys zlocistych promieni, które
topią się gdzieś w nicości. Popredzają one przybycie swe-
go rodzica. Za chwilę ma wjechać z triumfem na ruchomym
tronie niebieski król świata dziennego, przyrodzony siew-
ca radości, wesela, życia, którym ma trysnąć rodna ziemia,
budzącą się leniwie z letargu zimowego.

Cała natura z właściwym sobie instynktem odczuła je-
go przybycie.

Pobliski las odetchnał przeciągły, ostrym, świeżym po-
wiewem wiatru. Poruszył on nieśmiało zesztywniałemi, nieco
oszroniałemi gałązkami drzew, przyziemniem badylami zielisk,
zaświstał figlarnie po opłotkach, nucąc zcicha pieśń natury,
nieznaną rodzajowi ludzkiemu.

Wyspowe pozostałości płatów śniegowych, symbolizu-
jące jeszcze minioną porę roku, jak gdyby skurczyły swe
garby, przyćmione szarą powłoką kurzu.

Goszczący jeszcze niedawno skowronek opuścił swoją
tymczasową kryjówkę i radośnie, z upojeniem rozdzwonił
się nad szaremi calunami ról. Za nim, niby martwe bryłki,
rzucane niewidzialną ręką ku niebu, wzbiło się naraz kilka
dziesiątek naśladowców. I cały ten zespół chórzyków pta-
sich, przybiwszy sobą niebo niby gwoździami, strzelili dźwięcz-
nym hejnałem na cześć Zmartwychwstającego.

Wtem na tle zgodnego akordu śpiewu ptasza zadźwię-
cał wyraźniejszy, śmielszy i mocniejszy głosik, któremu
wnet zawrówał jakiś głos potężniejszy, spiżowy. I te dwa
głosy utworzyły swoistą muzykę, buchającą życiem, wese-
lem, uwielbieniem i zarazem jakąś potęgą nieziemską.

Dzwoniono w przyległym kościołku.

Przy akompaniamencie tych dzwonów huknęła z setek
piersi stłumiona odległość nieboszczona pieśń Zmartwych-
wstania „...Którego z nas każdy żądał. Alleluja! Alleluja!” —
dochodziły do mych uszu końcowe jej refreny.

Słońce podniósł się z mokrej topieli mgieł i ólsniło
swym blaskiem naturę, która w niem uwieliźnieniu
padła w proch przed Panem, odczuwając ważność chwili.

6.IV.1931 r.

J. Horodeński.

Iść chcę wdal!

I

Przyjdź, wiosenna falo!
Wyrwij mię z pochmurnej bytu cieśni
I na rozhukanych twych zatopów szczycie
Przez twe głębie, wichry, pieśni,
Nieś mię — w życie!...

II

Iść chcę wdal,
Hen, za widnokręgu mglistość siną,
Przez dzwoniące skowronkami wielkie pola,
Tam, skąd cudów obietnice z wiatrem płyną,
Tam, gdzie spotka mię tajemna moja dola,
Co ogarnia takim świętym szczęścia strachem,
I wciąż zbliza się, nadciąga, pędzi, rośnie,
A olbrzymich skrzydeł swych rozmachem,
Gra o wiecznej wiośnie...

III

Przyjdź o falo!
Przyjdź, grajaca, szumna, przyjdź, szalona,
Technienia twe niech ogniem pała,
W nieskończoność niech mię porwa twe ramiona,
W twych uściskach niechaj dusza kona!

J. B. I ż.

„Rezurekcja”.

Północ była, gdym wchodził w bramę cmentarną, jak cień wśród podobnych sobie cieni, sunących w góre, ku małemu, oświetlonemu kościołowi. Ludzi było już moc. Jasne, buchające światłem i ciepłem ludzkich oddechów wnętrze ciasnego kościołka pomieściło zaledwie połowę narodu. Reszta stała zwartą, ruchliwą masą w cieniu prastarych lip i posępnych murów nowego kościoła, budowanego ofiarnością ludu i niezmordowaną pracą pasterza parafii.

Cisza panowała wśród rozmodlonego tłumu, przerywana cichym szeptem rozdygotanych warg i szelestem przesuwanych kartek i paciorek różańca. Z wnętrza dolatywały słabe, przytłumione słowa modlitwy, odmawianej półgosem przez kapłana. Wszystkie oczy zwracają się tam, do stóp ołtarza, w błagalnej prośbie, lub kornej podzięce...

Noc była cicha i mroźna, na tle ciemnoszafirowego sklepienia nieba, wśród milionów białych, migotliwych gwiazd świecił pełny, jasny księżyc, wciskając swe bladé, drgające tajemniczo światło w gęsty mrok nocy, rzucającej długie, czarne cienie na szarą ziemię. Ciężka, męcząca cichość osiadła na powiekach modlących się, zamkując oczy i tując do snu... Nagle ciszę rozdarł donośny, wydarty z tysiąca piersi dźwięk znanej, radosnej pieśni:

„Wesoły nam dziś dzień nastął”.

Zahuczało w małym kościołku, krzyk potężny szarpnął nim, zatrząsł słabemi, drewnianymi ścianami i runął potężnym strumieniem przez rozwarte naoścież wierzeje na cmentarz. Tu pochwycił go drugi tysiąc i rzucił w strop gwiaździstego nieba przepotężne: „Alleluja!”

Z kościoła wychodziła procesja, wijąc się długim, wężowym skrętem wśród rozkołysanych i rozśpiewanych fal ludzkiego morza.

Na końcu, pod ciężkim wzorzystym baldachimem, w otoczeniu księży szedł powoli kapłan, unosząc wysoko w rękach złocistą, promienną monstrancję z Hostią Świętą, która swą Bożą mocą przykuwała wzrok wszystkich wiernych, co padali na kolana, by uczcić Ciało Boże, które niezgłębioną tajemnicą w chlebie swą postać ukrywało, rozsiewając przeliczne łaski i dobrodziejstwa ze złotej monstracji na kornie schylone w uwielbieniu dusze...

Ze zwartej masy ludzkiej poczęły się odrywać mniejsze i większe grupy ludzi, by towarzyszyć Bogu Zmartwychwstaniu w procesji.

Drgnęły tłumy na widok oślepiającego blasku z symikiem wytryskujących ku niebu rakiet, rozsypujących się w milijardowy pył iskier, ginących tuż nad ziemią.

Powtórną falą wstrząsu przeszła przez rozśpiewane rzesze na huk działa, co także cześć Panu Zmartwychwstaniu głosiło swą zimną, stalową gardzielą.

Coś potężnego, jakaś niepojęta Boża moc spoila te dusze-ogniwa w nierozerwalny łańcuch wiary i miłości. Ży-

cie codzienne, wraz z kłopotami i zmartwieniami, towarzysząmi nieodstępymi pozostało gdzieś daleko, nie istniało dla tych ludzi, co szli przed siebie, wpatrzeni ekstatycznym wzrokiem, pełnym szczerego oddania i uwielbienia w Chrystusa Zmartwychwstałego w ich duszach, a ukrytego w Hostii Przenajświętszej, niesionej przez kapłana.

Oni Go widzieli żywego i promiennego, bo serca ich śpiewały całą mocą rozdygotanych warg potężną pieśń Zmartwychwstania.

Po trzykrotnem okrążeniu kościoła wtłoczyłem się do wnętrza jak kropla w morzu, pchana przez inne i popychającą inne.

Kościółek był mały, drewniany od podłogi po sufit, który dźwigał się na dwóch rzędach kolumn—pni ciosanych, okrągłych, pachnących żywiczną wonią sosnowych borów i puszczy jodłowych. Jedyną ich ozdobą były choragiwie, stojące przy nich. Po obydwiu stronach tkiły dwa rzędy małych, kwadratowych okien, z prostemi maleńkimi kratami szybek.

Z prawej strony saczyła się przez nie do wnętrza rzęsieć oświetlonego, ciemna, czarna jak kir noc, zalewając fioletem wszystkie kąty i zagłębienia, z lewej zaś zaglądał ciekawie, światłem i modlitwą zwabiony pełny, jasny księżyc, jakby chciał srebrem swego światła uczcić Zmartwychwstałego Pana, to znów krył się trwożliwie za nadchodzące chmury...

Wnętrze kościołka zapchane było po brzegi, ścisk pasowało nie do opisania, powietrze ciężkie, drgające gorącością ludzkich oddechów i przesycone światłem i modlitwą. Cicho było i spokojnie, jeno lekki podmuch zimnego powietrza i gwar wciskających się do wnętrza dolatywał od otwartych drzwi i stłumiony szept modlącego się kapłana u stopni strojnie przybranego ołtarza, to znów przerywał ją radosnym brzmieniem śpiew chóru, obijał się o ściany, potężniał i cały kościółek brzmiał potężnem: „Alleluja...”

Blada twarz księżyca przesunęła się już o jedną szybkę wyżej w kracie okiennej, już widać było tu i ówdzie między babskim narodem chylące się ciężko ku ziemi głowy z zamkniętymi, ołowianymi powiekami... Powietrze stawało się coraz cięższe, gorętsze.... Wtem silny, radosny głos z ambony poderwał wszystkie głowy do góry i zwrócił oczy na kaznodzieję. Ksiądz dobródziej opowiadał głosem pełnym radości i wesela o tem, jako w oą czas: „Marja Mag-

dalena, Marja matka Jakóbowa i Salome szły z wonnością, aby Go nastać, a przeszedszy, ujrzały grób pusty, kamień wielki odwalony i młodzieńca ubranego w białe szaty, siedzącego obok, który im rzekł: „Nie trwózcie się! Szukacie Jezusa Nazareńskiego ukrzyżowanego? Powstał z martwych, niemasz Go tu!! I opowiadał długo, jako Jezus nasz najmiłościwszy ukochał nas maluchów i przeszedł na świat, aby nas zbawił, jako umarł na krzyżu za wszelkie grzechy nasze, jako wreszcie zmartwychwstał swą mocą Bożą i żył między uczniami swymi, nauczając ich i krzepiąc przez dni czterdzięści...”

Wreszcie, gdy w kościele już na dobre rozlegało się chlipanie bab i szloch żałosny wzruszonych serc niewieścich, zakończył kazanie słowami życzenia, aby i w naszych sercach Ten Chrystus, Ojciec nasz najmiłosierniejszy, zmartwychwstał i żył w nich do końca życia naszego, do chwili połączenia się z Nim w niebie, co daj Boże — Amen”.

„Panie Boże zapłać” — przeleciało szmerem przez tłum, odbiło się echem o ściany kościoła i, powtórzone przez stojących za drzwiami, zniknęło w mrokach nocnej ciszy.

W kościele znów zapanował monotonny szept modlitw i przesuwanych paciorek. Ciężki, siwy dym kadzideł unosił się leniwo w górę, rozsiewającokoła silny zapach spałonych ziół i kwiatów...

Mijały długie chwile w skupieniu ducha i żarliwej modlitwie; czarna noc wciskająca się oknami zbladła i zszerzała nieco, a księżyc bledszy niż przedtem, krył się znużony za okiennicę...

Wreszcie, około trzeciej, zagrzmiały organy, zwiastując rychły koniec mszy św. i lud wysypywać się począł powoli na cmentarz, dając małemi grupkami wdół, ku bramie, pogadując zcicha i otulając się szczelnie, jako że noc była mroźna i zimnem przejmowała tych, co wyszli z rogrzanego ludzkim oddechem i gorącością ciał powietrza

Ludzie wychodzili grupkami i w pojedynek z bramy cmentarnej na oświetlone ulice, ginęli na zakrętach, lub znikali w czarnych czeluściach domostw, kryjących jeszcze w sobie cień nieprzenikniony.

Strudzeni śpieszyli, aby odpocząć po znojnej przedświątecznej pracy...

R-wicz.

Idzie wiosna!...

I

Idzie wiosna! idzie wiosna!
 Od nadrzecznych łak i błoni,
 Od zachodu modrej dali,
 Jak tysięcznych tętent koni,
 Idzie czar wiosennej fali;
 Płynie z wichrem wieś radosna,
 Oczy się doń szczęśnie śmieją,
 Serce drży wielką nadzieję.
 — Idzie wiosna! idzie wiosna!

II

Idzie wiosna! idzie wiosna!
 Przyjdzie — wichrem się rozśmieje,
 Złotym ogniem zajaśnieje,
 Rozpromieni cały świat;
 Z uwieńczoną przyjdzie skronią,
 Darząc blaskiem barwą, wonią,
 Sypiąc szczodrą wkoło dłonią
 Czarodziejski wiosny kwiat!
 Idzie wiosna! idzie wiosna...

J. B. I ż.

DZIAŁ „NASZE ŻYCIE”.

W odpowiedzi na artykuł „Koleżankom”.

Pomimo tytułu i zakończenia, wzywającego koleżanki do odpowiedzi, względnie dyskusji, odważyłem się podjąć głos w sprawie tego artykułu. A to z dwóch przyczyn — jednej — w obronie koleżanek kursu I, drugiej zaś — w obronie godności kursu męskiego, gdyż sądzę że to nietylko typyły się kursu V ale i innych.

Co do tego, że „flirt” jest jednym z najbardziej odpowiadającym sportów seminarzystek — nie wiele mogę powiedzieć, zresztą już same się wypowiadzały, a przez usta

jednej z najmniej ten sport uprawiających (tak sądzę). Więc należałoby sądzić, że istotnie flirt jest „chlebem pow-szednim” wszystkich seminarzystek, kiedy nawet o tem tak głośno krzyczą — i to te (powtarzam), które (na końcu) wypierają się zupełnie go, idąc drogą „tajemniczą”, nic nie mającą z flitem.

Czy flirt jest rzeczą karygodną? — różnie można mówić o tem — to tylko będzie zależało od pewnego rodzaju nastawienia krytyka do rzeczy krytykowanej. Można go ocenić ujemnie, jako zresztą zrobiła koleżanka K. w swoim artykule. Ale nam przecież nie chodzi o to, że gdy ktoś zrobi coś złego, zahukać, zakrzyczeć: jesteście niedobre marnujecie czas, energię i t. d. Owszem, można zwrócić uwagę, nawet to jest obowiązkiem starszych koleżanek — bardzo ładnie — ale nigdy w tak ostry sposób, który przyniósł zapewne wiele przykrości pierwszokursistkom. Zresztą trzeba mieć na nich wzglad — są dopiero pierwszy rok w naszym otoczeniu, przypatrują się nam, poznają nas, no i nic dziwnego, że czasami może się interesują. A tymczasem takie koleżanki — poważne, o skrytalizowanych poglądach, doswiadczeniu i może nawet małą dozą pesymizmu, zauważyszy co się dzieje, walą gromy i to od razu na koleżanki i kolegów. Czem to wy tłumaczyć? — Nasuwa się wiele przypuszczeń.

Czyżby zazdrość? — chyba że nie, rodzaj zemsty? — też chyba nie, złość na kolegów — może?! — na koleżanki? — zdaje mi się że niema za co (jeszcze nie zdążyły im zaleźć „za skórę”). Może chęć dania przestrogi, wskazówki? — Chyba że to najbardziej odpowiada — lecz widocznie tu zaszła pomyłka, czyli jak to się mówi „dobrze pomyślał, a głupio wyszło”, bo w razie przeciwnym pozostaje tylko jedno — et, napisało się, bo nie było co pisać.

Ale nawet gdyby tak było — to zgodnie z „Refleksjami” Stawicza — normy postępowania należałoby ułożyć zgodnie z charakterem duszy czułej na krzywdy, nawet najdrobniejsze zadraśnięcie osoby bliźniego, bo w razie przeciwnym autorka jest nieczuła, a więc daleką od doskonałości ducha i w życiu społecznym — „drastyczna”.

Powracając do koleżanek kursu I — zaprzeczyć nie mogę, zebym nie widział żadnej koleżanki z kolegą (zresztą sam nieraz korzystałem z ich humoru), ale sąd mój o nich jest inny. Tu mogą mi zarzucić stronnictwo — od której właściwie jestem daleki. „Flirt świadomy” jest właściwie wskaźnikiem radości ducha, jasnego poglądu na świat. Ko-

leżanki o ile go uprawiają, (sądzę, że nie w takim stopniu), to robią to bodaj z koniecznością—w jakiś sposób muszą wyładować nadmiar energii młodości—której nigdy w zupełności się nie przeleje na matematykę, czy fizykę. Zresztą i tak wiele czasu poświęcają różnym zabawom i grom—co jednak, jak widać, je nie wyczerpuje; być może, że koleżanki na starszych kursach już nie mają takiej werwy życia—i dlatego mogą sobie pozwolić na „odseparowanie się od kolegów”.

Co do „flirtu nieświadomego”—to także on jest pewną koniecznością ducha. Dziewczęta w tym wieku są skłonne do pewnych wynurzań się. Muszą mieć jakieś osoby zaufane, a temi są—dzienniczek (może jest niewłaściwem podciąganie go pod miano osoby, ale dla jego ważności musimy to wybaczyć), koleżanki, koledzy. Gdy dziewczyna flirtuje z dzienniczkiem, nic przeciwko nie mamy—zresztą wszystkim śmieszna się wyda nawet myśl o ograniczeniu (chociaż ten jest zawsze właścicielem najskrytszych myśli), gdy z koleżanką—także nie—nawet jest uważane za konieczne, a gdy tylko z kolegą, to taki rwetes—gwałt, krzyk—dlaczego?

Dlatego, że to jest kolega—owoc zakazany(!)

Nic głupszego. Pomimo różnych odchylań i właściwości charakteru, dzienniczek zawsze nie wystarczy, więc dopowiedzenie — koleżanka! Otóż też nie wystarczy—dlaczego? Dlatego, że dziewczęta są zazdrośnie i ogromne plotkarki, przytem się kłócą na każdym kroku o byle co. Otóż wyobraźmy sobie położenie dziewczyny, która się pokłóciła z koleżankami. Dziennik jej nie wystarczy, szkoła też nie, lekcje nie, dom nie—cóż? Spotyka kolegę i z nim przepędza przyjemnych kilka chwil. Dlaczegoż tyle krzyku!—Dlatego, że te same koleżanki myślą Bóg wie co o tem. Ta widziała to, ta innie i w sumie urasta do takiego artykułu, który już ze stronic „Młodej Myśli” grzmi zakochane(!) dziewczęta. A tymczasem te nic o niczem nie wiedzą, po dwóch dniach godzą się z koleżankami, piszą dzienniczki i pędzą przykładne, spokojne życie. Ani im w głowie „zadurzenie się”. Dlaczego nie, czasami bywa okres specjalnej sympatii, ale ten zawsze prędko mija, tematy się wyczerpują, jeszcze pewien czas pozostają milcząco—a potem rozchodzą się i ze wzmożoną energią biorą się do pracy.

Cóż w tem zdrożnego? — A gdyby nawet — to się powinno sprawę tą załatwić trochę inaczej i nie z tak wysoka. Koledzy są też przedstawieni niezbyt korzystnie. Są to

indywidua żarłoczne, chciwe, upajające się chwilami „flirtu”, typy, którym chodzi o sławę pogromcy serc dziewczęcych, kiedy właśnie jest inaczej — „flirtuje” się czasami w obojętnych dialogach, rozmowach towarzyskich, ba, nawet się filozofuje.

Sądzę nawet, iż tu pod miano flirtu jest podciągana nawet rozmowa dwóch osób w tematach obojętnych i nie mających z osobą jednej, czy drugiego.

Biorąc pod uwagę dział „Nasze życie”, gdzie artykuł był zamieszczony — zdaje mi się, że to miał być zwykły obrazek naszego życia — przeciw któremu niczym nie miał — ale że artykuł ten wcale nie delikatnie dotknął oba kursty — postanowiłem je bronić, zwłaszcza kurs żeński. W stosunku do męskiego powiedziałem tylko tyle, ile to się mogło tyczyć wogół nas wszystkich — kolegów.

Antoni J. Brukasz.

Echo „Projektu”

Los nadarzył, że jestem echem, które się odzywa do jakiegoś filozofa zamaskowanego, krzyczącego przez tubę na puszczy. Dlaczego na puszczy? — zaraz odpowiem — dlatego, żeby wszyscy słyszeli i ożywili się, bo są martwi jak kamienie wokoło leżące. Dlaczego — kiedy spytał — filozof jest zamaskowany — rzecz prosta, dlatego, żeby go nikt nie poznał podczas nagany, a żeby się dał poznać podczas pochwały. Otóż co do tego projektu — wielkości i słuszności nikt nie może mu ująć. Powstanie kół naukowych na terenie naszej szkoły byłoby bardzo pożądane i chwalebne.

Istnieją sekcje graficzna i sceniczna — dlaczegoboy nie miała być jakaś n. p. teatralna; istnieje „Młoda Myśl,” — dlaczegoboy nie miało być koło „czytających literatów, dla czegoboy nie miało powstać koło historyczne, przyrodnicze, geograficzne?”

Ale to, co znalazło szatę słowną na stronicach „Młodej Myśli” już jest w stadium rozwojowem na terenie kurzu Im. St. Staszica. Nie odbieram projektowi oryginalności (rozszerzenie terenu na całą szkołę) i projekt ten osobiście popieram, tylko podaję do wiadomości Sz. „Studentce”, że gmina nasza już przystąpiła do pogłębienia wiadomości z

dziedzin niewyczerpanych w programie nauki szkolnej. Sądzę, że to przyniesie „uciechę” projektodawczyni—a może da podwalinę do podanej myśli stworzenia kół naukowych.

A więc wznoszę życzenie—niech żyją koła naukowe! (jakie, nic nie wiemy) i niech się ogół przejmie tym projektem—ja tymczasem chciałbym poznać „Studentkę” i może w niedługim czasie zaprojektować utworzenie czegoś konkretnie ujętego.

Antoni J. Brukasz.

Cośnicoś ze święt.

Na trzeci dzień świąt zebrałyśmy się u „Gabryni” aby . . . (przeszraszycie się) . . . aby uczyć się geografii. Smiejcie się, ale kto miałby tyle co my zadane, książkę wyypożyczoną na czas ograniczony . . . no i groziłoby coś w postaci dwój, zrobitby nie inaczej.

Słońko świeciło, zaglądając nam w oczy, a my „niby” kułyśmy.

„Niby”—bo gdy Irka czytała o pochyleniu się płyty Podolskiej w stronę Dniestru, Jadzia, wodząc palcem po mapie, znalazła Zaleszczyki i rzekła: „to ważne”, potem miasto Iwan (dziwna nazwa); a że Irka czytała teraz o dzikich łabędziach, po podniesieniu głów wyszło, że „Iwan pasł dzikie łabędzie w Zaleszczykach”.

Jakim cudem to wyszło—nie wiem, ale jak ktoś chce, aby coś wyszło, to dopnie swego.

Boże! Jak to trudno przerzucić się do szkoły z błogiego „niemyślenia” o lekcjach, dwójkach, o panu profesorze Czarneckim (więc o grożącej dwój z fizyki) i o różnych różnościach przyjemnych i nieprzyjemnych.

Te święta—to błągi czas, ale zbyt krótki, a nasze zboalałe dusze jeszcze nie zdolały się otrząsnąć z wrażeń po tym strasznym dniu, kiedyto wszystkie dwóje, publicznie, przed całą klasą, w całej swej ohydzie i grozie, były wyciągane. Na nic się zdało „nie przyjście” do szkoły, co zastosowała nasza Genia i jej dwóje „świeciły bokami”.

A tu znów trzeba będzie się zagłębić w zawiłą sieć twierdeń matematycznych (łapać dwóje) powtórzyć całą przyrodę (bo to „niby matura”) i nudzić się na niektórych lekcjach, zależnie od zamiłowania.

III ż.

Trocę o nas... (Krytyka)

Jest pewna kategoria wypadków w życiu uczennicy, czy ucznia, czy nawet gmin, którą w tajemnicy ciśnie, bojąc się, żeby, bron Boże, nikt się nie dowiedział. Eh, bo coby wtedy było? — Białka, czy Biała ze swoimi wodami, a raczej atramentem, po którym niby okręty, płyną skorupy od jajek i pudełka od zapałek.

Ale wracam do rzeczy, bo co mnie może wzruszać taka Białka, którą znam tylko z widzenia, choć codzień ją przechodzę dwa razy. Mieszkam bowiem na „Pradze” zn. tam, w stronę Wasilkowskiej. Otóż z temi „wypadkami” to sprawia nie bardzo jasna, więc nie dziwcie się, że ja chociaż w pracowni fotograficznej nieraz wyświetlam, czy tam na wyświetlam, to jednak tutaj nic nie wyświetle i podam wszystko ze strony ciemnej. Tu, zapewne niejedna i może niejeden nawet powie: „Będzie zapewne biczowanie nieinnego, przypisywanie lat, a wzamian wyjmowanie klepek z . . ., więc Panie odpuść, ale ja tego czytać nie będę”.

Otoczę mogę ręczyć głową, którą czuję jeszcze na karku, że wszystko, co powiem, to nie ze złego serca. Bo czyz ja nap. ujmę coś naszej mocno zasłużonej (dawnej) Wice-Redaktorce (słuchy chodzą, że proszono ją o dalszą pracę na tem stanowisku), jeżeli powiem, że ma żal do całego ogółu za niedocenienie jej talentu literackiego i zdolności Redaktorki bez „wice”? To raczej sromota ogółu, że się na tem nie poznał — n'est ce pas? Więc bijmy się w piersi, a Bóg jest wielki i może nam błędy nasze (i te w gazetce i te wogóle...) przebaczy. Ja to już jestem na drodze do poprawy, cóż kiedy licho siedzi tuż obok z lewej strony i dmucha mi w ucho takie rzeczy, że wątpię, czy wystarczy, jeżeli grzmotnę się pięcią w piersi i powiem mea culpa, bo za chwilę mogę „skrobiąć” te podszepty i znów zgrzeszę. Ale widać nie wytrzymam (nic w tem zresztą dziwnego, należę przecież do tych, które nie hołdują powiedzeniu: „jest to cnota i t. d.”) i powiem w sekrecie przy najmniej, że między nami zaznacza się pod każdym wzgledem upadek. Stwierdzają to zresztą wszyscy. Bo czyz czwarty żeński tworzy coś nowego i wznowionego, naśladowując uparcie „komendantów” (b. niejasne)? Albo czys ten sam kurs myśli, że drugą Amerykę odkryje, stając na głowie i krzycząc tak, że go w gabinecie dentystycznym słyszać? Wszak to już stare jak świat, bo tak zapewne ryczał i-hipopotam, i szympan, i inne twory boskie w jednym końcu

raju, gdy myślały, że znajdujący się w drugim końcu, dobry Bóg ich nie słyszy. Głupie zwierzaki... Alboż to Pan Bóg nie wszechwiedzący? Wie On również, że IV męski to też „żadna głowa”. Słynny ich jazzband nic nowego, to stare jak szlachetny ród murzyński, od którego niemniej szlachetny IV m. zapożyczył garść zwyczajów.

A kiedy mi się już język rozwiązał, to nie mogę wytrzymać i nie powiedzieć, że tylko jeden V m. wysuwa się poza nawias mojej krytyki, której nie wytrzymuje, bo on to wogóle żadnych zwyczajów nie ma, a jak coś zrobi, to pierwsza klasa! Mam tu na myśli nowy pomysł rozwiązanie gminy. No i już mam dosyć obgadywania, za które przedzej, czy później, piekło mnie nie minie, więc to, co wiem o tym Koledze, który święcie wierzy w taką możliwość, że artystyczny duch Chopina, albo conajmniej Moniuszki w nim się odrodził, i o tym, co uśmiecha się do tej dróżki, która zawiodła gdzieś Kiepure, zamilczę. Co mnie i wam do tego, że ktoś woli śnić na wonnych płatkach ułudy, niż na twarzonym materacu rzeczywistości...

Pominę też te jednostki, które myślą wraz z obecnym Redaktorem, że do końca tego roku co miesiąc będą wydawały gazetkę w dwóch tomach, i wiele, wiele innych. Któzby zresztą zliczył tych, o których można byłoby mówić, lecz wiedząc, że czasem podobną krytykę, w razie wykrycia incognito autora, można drogo przypłacić, gotowam wszystko odwołać, ale stało się, choć skóra mi cierpie, nie wiem dla „jakiej przyczyny”, to jednak już... stało się...

Hm, a kiedy już stało się, więc podobno wolno brnąć dolej, chociaż obmowa, to żadna cnota, i słyszę już napomnienia, które padają z ust tych, co w wolnej chwili same zatrudniają się czemś podobnym. Szkoda próżnych słów! Ode mnie takie napomnienia odbijają się niczem „groch od ściany”. Obrażone byłyby w swej glori te jednostki i gminy, o których żadna kronika i żaden protokół nie wspomina. Żeby więc „wilk był syty i koza cała”, wymienię jeszcze jedną z gmin żeńsk, sławną z tego, że rezyduje u siebie szereg poetek (przeważnie liryycznych), talentów muzycznych (mocno zaufanych w sobie) no i wreszcie referentkę. O każdej z poszczególnych (gmin) mówić nie będę, bo i tak nic mi z tego nie przyjdzie, nikt mi nawet dobrego słowa nie powie, co mnie wprowadza w taki beznadziejny smutek, że wątpię, czy kiedykolwiek jeszcze śmiać się będę. Zresztą to żadna przyjemność gadać o kimś nie wymieniając nazwiska, tego indywidualum, a wymienić to tyle, co

narazić się na wieczną kłatwę ze strony poszkodowanej. Powiem jeszcze tylko tyle, że ta sama gmina ma już dosyć zabaw z kolegami naszego zakładu i woli tysiąc razy Kol. z gimnazjum — „bardzo słuszne”. To ostatnie powiedzenie tak mnie wyczerpało, że jakkolwiek widzę was niepocięszonych z tej racji, kończę, bo... ja z nikim nie chcę mieć poswarki...

X.

Wspomnienie ze Świąt.

Naprzóro przez cały drugi dzień świąt oczekiwaliśmy na przybycie koleżanek.

Wieczorem — szarą godziną — położyłam się trochę zapewne dlatego, że na „jutro” nie było lekcyj do odrabiania.

I w tym czasie, gdy błądząc po krainie Morfeusza śnílam o jakimś dzielnym rycerzu, który miał naturalnie twarz i postać jakiegoś seminarzysty, conajmniej z III kursu, słucham, a tu napad Hunnów, Gallów, czy wszystkich razem Turków i Tatarów...

A wszystko to brzęczy ostrogami, tupie kopytami dzielnych, arabskich koni, trzaska z batów, krzyczy: „Hura, hajże na nich!”

Któz zdola opisać moje przerażenie!

Mysiąlam, że conajmniej koniec świata, lecz nigdy nie wyobrażałam sobie, by aniel w ten sposób mogli wzywać ludzi na Sąd Ostateczny.

Z początku strasznie się zlekłam, lecz potem, myślę sobie: czyż ja, com tak dzielnych przodków miała w swej ojczyźnie, zleknę się tej nawały?

Nie, pójdę ją sama odpierać.

Uzbroiwszy swe nogi w pantofle, a oczy przesłoniwszy kurzem osiadłym na rękach, krocę do drzwi...

Aż mi w oczach pociemniało, choć i tak była 8 godz. wieczorem, a światło się nie paliło w mieszkaniu, toż to tylko moje koleżanki: Gabrynia, Adela, Irka Janka. Mile spełzyliśmy tę resztę wieczoru.

Powiedziałyśmy sobie, że jeszcze żadna z nas nie była na tyle ciekawa, by zajrzeć do geografii lub biologii (a była wśród nas Irka!).

Zdaje mi się, że człowiek dorosły, jeśli z przyjemnością wspomina czasy szkolne, to chyba zawsze wspomina te wspólne, wesołe zebrania, noce, spędzone nad książką, wycieczki, śpiewy przy ognisku o zmroku, gdy wokoło cisza...

A gdy wśród zwykle jednostajnie spędzanych dni, jednego dnia słonko jaśniej zaświeci, a serce się bardziej rozszerzy i na dłużej ogrzeje, to wtedy, kto wie, może się sen jakiegoś wieczoru, spędzonego w gronie towarzyszy szkolnych i jedno z tych marzeń wysnutych w młodocianych głowach, spełniło?

III ż.

Uwagi.

W artykule tym chcę podzielić się wrażeniami, jakich doznałem po przeczytaniu ostatniego numeru „Młodej myśli”. Już sam tytuł wykazuje, że kipieć tam powinien zapał młodzieży, która czując w sobie nadmiar sił żywotnych, po godnie i ochoczo spogląda w przyszłość. Spodziewamy się więc coś w rodzaju:

„Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy,
Przeniknij z końca do końca”.

Tymczasem cóż tam widzimy? Z kart tego pisemka wieje chód, smutek, skrajny pessimizm, czarna melancholia... Każdy artykuł tchnie śmiercią, pełno tam jest samobójców, nędzarzy, wspomnień pośmiertnych i t. p.

Zresztą, to samo znajdziemy i w poprzednich numerach. A dlaczego tak jest? Dlaczego, jeśli ktoś postanowi pisać do naszej gazetki, to obiera sobie za temat smutek, śmierć, refleksje...? Czyż jesteśmy młodocianymi starcami, którzy wiele przeżyli i spełnili swoje zadanie?

Wszak jesteśmy dopiero tylko u progu życia, a mamy przed sobą wielkie zadanie, mamy być bojownikami kultury wśród najszerszych mas ludu polskiego. mamy zmienić myśl narodu, która w czasie długoletniej niewoli skierowana była przeciwko rządowi, i naklonić ją (tę myśl) do wysiłku twórczego dla Ojczyzny.

Czy, idąc w życie w takim nastroju, podołamy swemu zadaniu? Doprawdy, kto w młodości przyzwyczai się patrzeć na świat tylko przez czarne szkła, temu praca na niewie społecznej będzie męką.

Pójdzmy więc za głosem wielkiego wieszczą: „Dalej z posad bryło świata, nowemi cię pchniemy tory...”

Kiedy chcesz pisać do „Młodej myśli”, a nasuwają ci się czarne refleksje, wznieś głowę ponad szarzyznę życia, rozpogodź czoło i niech twa myśl będzie naprawdę młodzieńcza...

Z. Urbanowicz III k.

Wieczór ku czci Emilji Plater.

Dnia 15 marca odbył się wieczór ku czci Emilii Plater, urządżony staraniem I kursu ż. Ponieważ Emilija Plater jest patronką naszej gminy, postanowiliśmy nasz wieczorek poświęcić jej czci. Myślałyśmy o tem od października. Na jednym z zebrań zarządu ułożyłyśmy sobie mniej więcej plan wieczoru. Orzekłyśmy, że referat o życiu Emilii Plater opracuje i wygłosi Czesia K. Czesia zabrała się z wielkim zapałem do roboty, my zaś zaczęłyśmy znosić wszelkie książki i pisma, w których było coś o życiu Plater. Ale wkrótce spostrzegłyśmy, że plan wieczoru jest bardzo szczupły, postanowiliśmy go wzbogacić.

Każda z nas miała dać projekt, przedstawiony na piśmie, aby dołożyła jeszcze do planu. Ale, jak zwykle, skończyło się tylko na zamiarach (bo dużo mówiono, a mało zrobiono). Na drugi dzień na ręce przodowniczki zostało złożonych tylko sześć kartek z projektami. Ale przy pomocy pani Wychowawczyni program jakoś się powiększył. Czesia miała dalej pracować nad referatem, drugi referat p.t. „Powstanie listopadowe”, miała wygłosić Halina A. Deklamację Stacha K. i t. d.

Z niecierpliwością czekałyśmy 15 marca. Po długich oczekiwaniach nadszedł ten kochany dzień. O godzinie drugiej po południu przyszły koleżanki przystroić aulę i przygotować miejsca dla widzów. Wszystkie pracowałyśmy solidnie. Wreszcie wszystko gotowe. Po lewej stronie przy scenie widać było obraz E. Plater, przybrany w zieleń. O godzinie 4 początek wieczoru, a tu już jest 4, a prócz nas pierwszkusiek (które stawiłyśmy się jak jeden mąż) i internistów—niema nikogo. Narzekaliśmy na punktualność koleżanek i kolegów. Aula powoli się zapełniała. Gwar ucichł. Na scenie ukazała się przodowniczka I k. ż. Zaznajomiła ona obecnych z porządkiem wieczoru. Za chwilę weszła znowu na scenę, by wygłosić referat p. t. „Powstanie listopadowe”. Co do referatu, to Halinie nie można nic zrzucić. Czy referat był ciekawy, zajmujący—nie wiem, wiem

to tylko, że obecni zachowali się przynajmniej cicho. Autorka referatu wywiązała się ze swego zadania dobrze (bo umiała go nawet zapamięć). Po tym referacie nastąpił drugi p. t. „Życie i działalność Emilii Plater”. O, nieszczęśliwi ci, co przybyli, (koledzy i koleżanki) napewno narzekali, aż dwa referaty!...

Drugi referat też bez zarzutu, szkoda tylko, że Czesia wygłosiła go tonem deklamacji. Po wygłoszeniu referatów Stacha K. deklamowała wiersz A. Mickiewicza p. t. „Śmierć pułkownika”. Deklamacja wypadła dość dobrze, tylko szkoda, że Stacha połknęła dwa wyrazy (broń Boże przez zapomnienie), ale ogólnie tego nie spostrzegł. Bo i cóż tam pozostało mu z deklamacji, obchodziła go figurka koleżanki, jej mundurek, postawa, no i twarz — nic więcej. Po deklamacji chór odśpiewał „Ciężko ranny”. Następnie deklamacja zbiorowa i odśpiewano „Lecą liście z drzewa”. Na scenie ukazała się znowu przodowniczka z ogłoszeniem przerwy 10-cio minutowej.

Po przerwie odegrano scenę z życia Emilii Plater. W scenie tej grało trzy główne osoby, a mianowicie: Emilija i dwie towarzyszki. Rzeczywiście tej sceny wchodzą kobietki, przynoszące smutną wieść o wywiezieniu Michasia Platera na Sybir. Kobiety te jednak nie były w zupełności kobietami starszemi (o czem świadczyły ich krótkie spódniczki krakowskie i wstążki, zwieszające się z ramion).

Emilją była słynna deklamatorka kursu I. Jej smutny stanowczy głos (Luška na każdej z prób starała się go zrobić podobnym do głosu Emilii) nadawał ton tej scenie.

Według mnie scena została dobrze odegrana, może kto inaczej sądzi. Tylko przy końcu, jakby na nasze nieszczęście, kurtyna nie chciała się zasunąć i suwała się w takt „Warszawianki”.

Po tym obrazie przodowniczka podziękowała w imieniu całej gminy p.p. Profesorom, którzy pomagali nam przy urządzeniu wieczoru, wszystkim obecnym na sali za przybycie, a szczególnie kolegom, którzy raczyli zachować się cicho przez cały przebieg wieczoru.

S. K. / ż.

Na czasie.

Nieraz się dziwię, że brak jest artykułów do „Młodej Myśli”. Słysząc narzekanie redaktora i tych, co to chcieli by coś napisać do gazetki, że niema odpowiedniego mater-

jału do artykułów, że niektóre artykuły nie nadają się dla tego, że są „nie na miejscu”, zrodziła się u mnie taka myśl, ażeby w tej gazetce umieścić jakiś „Kącik”, gdzieby można było poruszyć takie sprawy, jak: ustosunkowanie się do rzeczy szkolnych, stosunek do kolegów, zachowanie się ucznia i. t. p.

Trzeba stwierdzić ze smutkiem, że w naszym społeczeństwie brak poszanowania dobra publicznego, jeszcze gorzej, bo nawet poszanowanie dla zmarłego, dla jego szkieletu umieszczonego w szafie na korytarzu II p., który nam służy do nauki, udostępnia dokładniejsze poznanie budowy człowieka. Wprost to karygodne, żeby się trafiały wypadki jak gdyby mszczanie się nad kośćmi człowieka, bo jakżesz możemy tłumaczyć kładzenie u stóp różnych odpadków, w szczękę niedopalonych papierosów, przekręcanie kończyn i przewieszanie na niewłaściwe miejsce.

Podobne wypadki zachodzą w szatni, która przed trzema latami, nawet może przed dwoma, wyglądała przyzwyczajenie: nie brakło żadnego haka, ściany i sufit wyglądały dość estetycznie, wszystko było na swoim miejscu. Jaka duża różnica zaszła obecnie. Na całą szatnię, w której było około 150 haków, zaledwie kilkanaście nienaruszonych tkwi w ścianie i większa część jest zniszczona do połowy, to znaczy — część górna lub dolna jest ułamana, tak że ledwo na niej może się utrzymać zawieszone palto, a może jednej ósmej haków całkiem brak lub tylko tkwią przy ścianie podstawy. Sciany i sufit są pokryte odciskami zabłocionych kaloszy. Drzwi zdjęte z zawiasów. Lampka ledwo wisie z całym umocowaniem na drucie przewodzącym elektryczność.

Przejedźmy teraz wyżej do sal wykładowych. Stoły są porysowane, ponacinane, to samo dzieje się z ławkami, a jeszcze trzeba dodać, że czasami są zrywane pulpity, które służą jako tarcze w natarciu na „przeciwnika”. Kałamarzy, obsadek, czy ołówków zostawionych na ławce, trzeba szukać po całym gmachu, bo ten, który używa tego atraamentu lub obsadki, najczęściej wynosi je do drugiej sali i nie raczy przynieść na miejsce, przez to naraża na koszt gminę lub poszczególnych członków.

Zdaje mi się, że to zło można było naprawić przez intensywne zwalczanie w gazetce, przez bezpośrednie zwracanie uwagi tym niszczycielom; w najgorszym już razie, (bądź to się nigdy nie stało) trzeba się posunąć do oskarżenia go przed wychowawcą, czy nawet p. Dyrektorem.

Nie myślę jednak, żeby w naszym społeczeństwie ktoś znalazzł się już tak gruboskórny, by zostać bez wrażenia na uwagę zwróconą mu w pisemku.

Bez wymienienia nazwiska w formie łagodnej, dowcipnej, jakimś żartem, albo nawet rysunkiem, karykaturą można ośmieszyć czyn niegodny, można przemówić do „rozumu”, przekonać, że źle postępuje. Słownem w gazetce więcej można zrobić, niżeli kijem z którym potrzeba chodzić krok w krok.

Tak, że materiału na ten temat nie zbrakłoby „autom, poetom i malarzom”, gdyby chcieli się tylko przyłożyć do pracy, przez którą uratowaliby wielu „nieszczęśliwców”.

„Procarz” III m.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

Po okresie.

- Chodźcie Kolego ze mną do Przystani
- A ile mieliście, Koleżanko, dwój?
- Ani jednej, ale zato, aż 10 piątek
- E... to ja nie chodzę z takimi „ciotkami”.

Do jednego celu (?)

- Gdzie idziesz Wicek?
- Do Celi (odchodzi w kierunku miasta)
- I ja idę do celi (odchodzi z książką do gmachu)

Tylko całe nieszczęście, że Cela celi, nie równa.

Podczas odrabiania na III m.

(W pierwszy dzień po świętach)

— Z powodu tego, że żaden z nas nie miał całej dwójki (tylko z plusami i minusami) urządzimy sobie, **wspólnymi siłami**, niby uczę. Ja przywiózłem z domu dużo smacznego rzeczy do jedzenia.

- A ja do picia.
- A ty co?

— A ja pusty żołądek do skosztowania tego, co przywieźliście.

Zadania do szybkiego rozwiązania

Zadanie dla drużyn harcerskich.

Sporządzić dokładną mapkę ścieżek w Zwierzyńcu i ustalić, kto z kim którą wydeptał.

Zadania dla internatu żeńskiego. Sporządzić spis wszystkich kaloryferów i ustalić, który w czasie zimy cieszył się największym powodzeniem u dziewcząt.

Gieniek III m.

